

# E P I T A F I U M



**POTOMEK PRUSÓW MOŻE BYĆ KAŻDYM TYLKO NIE MOŻE  
BYĆ PRUSEM**

Epitafium w tym przypadku będzie podsumowaniem dotychczasowego przebywania na planecie Ziemia z myślą, że nic nowego się już nie przydarzy i pozostanie tylko sarkofag. O tym już wiemy od samego momentu urodzin. Natomiast historia życia człowieka jest nieprzewidywalna. Nie z nauki i wychowania pochodzą człowieka cechy charakteru tylko walory jego są dziedziczone po przodkach. Inteligencji czy szlachetności żadne uniwersytety nie nauczą ani nie kupią żadne pieniądze. Trzeba z tym się urodzić. Dlatego nie należy uczestniczyć w pogoni zdobywania wielkich pieniędzy. Na koniec w niczym się one nie przydadzą i w rodzie długo nie pozostają. Nauka pozwala człowiekowi być rozumnym a wychowanie jest zależne komu się je zawdzięcza i nigdy dla wszystkich nie jest takie same. Rozumnego, pracodawcy poszukują i pieniądze same przychodzą. Cechy człowieka z ułomnościami przy władzy kończą się zwykle tragedią i katastrofą cywilizacyjną. Nauka w takich przypadkach jest bezsilna. Mądrych się zniewala a prymitywnych spycha do jeszcze większego analfabetyzmu. Człowiek staje się przedmiotem, prościej własnością. Takie jest moje spostrzeżenie człowieka, i sztuką jest żeby w tym chaosie dać sobie radę. Świat cały czas idzie z postępem i w nauce jest tylko przyszłość a nie w polityce która razem z historią bez przerwy się powtarza.

4-go września 1937 roku swoimi urodzinami uradowałem Rodziców ale pod koniec 1939 roku byłem już bez nich. Życie malucha przebiegało bez nich, bez pieśczoł czy czułości. Przy ciągle zmieniających się realiach życia, od małego nigdy w niczym nie było zaskoczenia. Do wszystkiego szybko trzeba było się przyzwyczajać. Lądowanie na cztery łapy, było opatrnością która pozwoliła na przetrwanie. Na marzenia nigdy nie było czasu, bo jakie one mogły być. Bez płaczu, bez pałania zazdrością ani nienawiścią. Od małego cały czas był realny kontakt z rzeczywistością i nie było miejsca na kompleksy. Wszystkie przeszkody żywiołowo były pokonywane. Tak dokładnie wyglądało życie po wybuchu wojny w 1939 roku z genetycznymi niemieckimi bandytami.

Ostatnim pociągiem z Warszawy Głównej wyjechałem z Rodzicami na dzisiejszą Ukrainę. Ojciec mój był na służbie Rzeczypospolitej wojskowego kontrwywiadu. Matce na pytania zawsze odpowiadał lepiej żebyś nic nie wiedziała. W Zbarażu rozdzielono nas i nigdy już Rodzice się nie spotkali. Ojciec został w Czortkowie. Ze Zbaraża pojechałem z Mamą do Dubna gdzie stryj Zygmunt był rezydentem kontrwywiadu. Tam 12 września zakupioną furmanką z Dubna wracaliśmy do Warszawy. Stryj Henryk przyjechał i tego dnia zastąpił stryja Zygmunta. 17 września Sowieci zaatakowali Polskę. Ojciec z Czortkowa przekroczył granicę Węgier gdzie został internowany. Kontynuował tam swoją kontrwywiadowczą służbę zatrudniony w magistracie miasta Esztergom na granicy ze Słowacją. Stało się to po spotkaniu z

węgierskim pułkownikiem i tłumaczką jakoby jego żoną. Wykonywał pracę geodety. Trochę czasu Ojcu zajęło na zlokalizowanie mnie u Babci, ale już bez Mamy i Dziadka. W Łomży wpadli w ręce Sowietów. Mama trafiła do łagru. Dziadek nie wiadomo gdzie zginął. Babcia została jedyną moją opieką, ale długo tego stresu nie wytrzymała, w dniu moich urodzin w 1940 roku odeszła i zostałem sam bez opieki. Znaleźli się dobrzy ludzie, bezdzietne starsze małżeństwo Siekierskich Łodzianie. Mąż był zatrudniony na kolei, a po śmierci Babci rodzina też się znalazła. Mąż siostry Mamy znalazł się z wojskiem we Francji przy granicy ze Szwajcarią. Po upadku Francji został internowany w Szwajcarii gdzie pracował u bauera i tam Ojciec jego wytropił. W korespondencji z nim napisał, że wykonuje to samo co robił w Polsce. Ich kontakt okazał się bardzo pomocnym. Ojciec na Węgrzech zarabiał pieniądze, ale nic do Polski nie mógł wysłać, za to ze Szwajcarii nie było problemu i obaj uruchomili most pomocy. Stały adres był uruchomiony u rodziny w Ostrołęce. Wydawało się, że dobrze jest jak jest, ale wkrótce



okazało się, że tak nie było. Parciaki na Kurpiach były węzłem kolejowym, mieszkalem tam w domu Babci a po jej śmierci byłem z ciotką którą Niemcy zatrudnili w kuchni. Razem z mieszkańcami Parciak zostałem spędzony na egzekucję Polaków. Jak zostałem spędzony tego nie pamiętam. Nieznana starsza kobieta stojąca za mną swoimi rękoma zasłoniła mnie oczy na to okrutne widowisko. Ponieważ miałem białe włosy 6-cio latkowi Niemcy urządzili zdjęciową sesję. Podczas sesji wrywałem się i skopałem Niemca trzymającego mnie na kolanach, amatora mojej adopcji. Zdawałem sobie sprawę, że jestem w objęciach bandyty. Zdjęcia się nie udały i w ten sposób tymczasowo uratowałem się od niemieckiego adoptowania. Wkrótce po tym

odbyła się w domu rewizja podczas której Niemcy znaleźli polski wojskowe koc, który naczelnny szkop Ślązak Platzek kazał sobie osobiście dostarczyć.

Ciotka miała młodszą córkę i nie wiadomo było jak by się to wszystko mogło potoczyć. Dla uniknięcia nie przewidywalnych represji niemieckich jedno było tylko wyjście zniknąć i przemieszczać się po kurpiowskich wioskach. Wkrótce ostrzyżono mnie głowę na łysą pałę, jak się to wtedy mówiło, i nie byłem już białowłosym. Wiele było wydarzeń wśród Kurpiów. Najbardziej zapamiętałem ich serdeczność. Nigdy nie zdarzyła się z ich strony jakakolwiek nieprzychylność. Wydarzenie które dobrze zachowałem w pamięci była wizyta partyzantów. Było to zimową porą w ciągu nocy. Udając śpiącego w duchu bardzo się cieszyłem z ich obecności. Ale przyszła wiadomość, że Niemcy zbliżają się z obławą. Partyzantów nie zastali, ale wszystkim zrobili rewizję. Nie uniknąłem jej. Niemiec zrzucił mnie z łóżka waląc o ścianę. W słomianym sienniku szukali ukrytej broni. Tak się bałem, że leżałem na podłodze i udawałem nieprzytomnego.

Latem jeździło się furmanką do lasu na zbieranie suchych gałęzi na opał i do gotowania na kuchni. Podczas jednej takiej wycieczki do lasu wysłany zostałem ze starszym kuzynem do sąsiadującej miejscowości na wykupienie prowizji z kartek. Kuzyn ten uciekł z domu i złożył nam wizytę. Podróżował po całej Europie z maszynistami parowozów. Po wyjściu z lasu rzucił mi kartki, wziął pieniądze i kazał wracać do lasu. Podczas wojny koreańskiej stał się bohaterem USA z wieloma odznaczeniami. Miał otrzymać od Prezydenta USA najwyższe amerykańskie wojskowe odznaczenie *Congressional Medal of Honor*. Kiedy powiedział, że *nie jest honorem zabijanie ludzi*, medalu nie otrzymał. Posiadam wiedzę jego indywidualnej bojowej historii godną wielkiego uznania. Dzisiaj ma 94 lata. Wróciłem do lasu, ale nikogo już nie zastałem. Znalazłem gniazdo z pliszkami i jakiś czas zająłem się ich karmieniem łapiąc im owady. Błądząc po lesie dopiero po północy pełen strachu przed wilkami dotarłem do domu. Nie było łatwo i nie pamiętam jak się to stało że trafiłem do domu. Kilka lat później w innej sytuacji zorientowałem się, że posiadam w terenie instynkt kierunkowej orientacji.

Często z Kurpiami pasłem krowy i przy ognisku piekliśmy kartofle. Posługiwałem się ich Polszczyzną. Podczas wizyty u Rodziny w Ostrołęce z innym kuzynem będąc w parku zostaliśmy otoczeni i napadnięci przez młodych Niemców z Hitlerjungen. Kuzyn dostał od nich ciężkie baty, a ja ze strachu się darłem. Mój strach przed Niemcami przyrównać mogę do nerwowego paraliżu. Kiedyś wracając z pola, z daleka spostrzegłem Niemców w wiosce. Ze strachu zagrzebałem się jak kret w stogu siana. Sytuacji było wiele i były nie do pozazdroszczenia. Prawdziwa nie do pozazdroszczenia szkoła życia. Zimą oglądałem przez odmrożony kawałek wychuchanej szyby. Nie wychodziłem bo z reguły nie miałem ciepłego ubrania ani obuwia. W zależności od tego gdzie przebywaliśmy, często łóżko stało przy kuchni. Nie pamiętam co jadłem i jaka była higiena życia. Nie



pamiętam żebym był chory. Podczas ostrych mrozów cały dzień spędzałem pod pierzyną. Nie zapomniany był pobytu w leśniczówce, gdzie schroniła się dość liczna grupa bardzo znerwicowanych osób. O zabawkach nie miałem pojęcia i takich nie miałem, ale robiłem sobie samoloty które latały ze mną w ciągu dnia. Lotnisko miały pod szafą, ale po każdej nocy nie było tam już ani jednego samolotu i tak wszystko było od początku. Podśluchałem rozmowy, że rosyjskie kukuryżniki (samoloty dwupłatowe) nocą wyłączały silnik i ślizgiem pilot obserwował gdzie się palą światła i tam zrzucał bomby. W leśniczówce były dzieci, ale nie dopuszczano ich do zabawy ze mną bo byłem wsiowy. Sumując to wszystko opuściliśmy leśniczówkę. Zbliżał się koniec wojny, zima była bardzo mroźna i śnieżna. W dzień przebywaliśmy w schronie. Noc w samotnym domu na odludziu z wieloma ludźmi szukającymi schronienia. Schron był rowem z dwoma wejściami wykopany w torfowisku do którego trzeba było się wczołgać. Metr w szerokości i wysokości wystłany słomą i przykryty drewnianymi okrągłakami, słomą i ziemią. Na noc wychodziło się do domu. Na podłodze było mało miejsca. Wszyscy pół siedząco spali na podłodze. Cały czas z frontu przewijały się uciekające niemieckie wojskowe jednostki, a wtedy wśród ludzi zapadała śmiertelna cisza. Bez przerwy świstały nad nami kule armatnie. Od czasu do czasu przelatywał samolot. Jeden z nich puścił na mnie serię kiedy bawiłem się na podwórku. Ostronił mnie cementowy okrągłak studni. Był przypadek że dwóch dezertersów schroniło się na noc, a niedługo przybył oddział SS komando na nartach w białych kombinezonach. Dezertersów szybko schowano pod stół przykryty kocem. Gdyby ich odkryto wszyscy by poszli „pod ścianę”. Była chwila absolutnej ciszy i przerażenia kiedy dwóch SSmanów weszło z dworu i spoglądali po ludziach. Jeśli dobrze pamiętam za parę następnych dni przybyli Sowieci, i nie było specjalnej radości. Pamiętam tylko, że wszyscy opuścili schron do domu i w pewnej chwili ciotka złapała mnie za rękę i pobiegliśmy z powrotem do schronu bo zostawiła tam dwie małe walizki. W jednej były ubrania w drugiej żywność. Kiedy do schronu przybiegliśmy z obu stron schronu z walizkami wychodzili żołdacy. Skończyło się dobrze bo ich oficer kazał im zwrócić walizki. Pomimo młodego wieku bardzo dobrze zdawałem sobie z tego sprawę i z wielu innych sytuacji. Byłem wychowankiem wojny.

Po zakończeniu wojny spotkałem Ojca. Było to dla mnie wielkie przeżycie. Przyjechał z Węgier żeby mnie odszukać. Odbiliśmy podróż na pieszo, we Włocławku promem przez Wisłę, na furmance, na deskach ciężarówki jadącej do Warszawy. Był to maj 1945 rok. Do dzisiaj nie zapomniany mam widok zrujnowanej Warszawy. Ojciec zmienił moich opiekunów i wrócił na Węgry żeby wkrótce wrócić ze swoim dobytkiem. Niestety nigdy się to nie zdarzyło. Opiekę powierzył najstarszej siostrze z mężem który był wójtem. Mieszkali w przepięknym pałacyku wśród parku. Pałacyk komuny nie przeżył. Chłopi

rozebrali go na cegły i pozostał tylko dół. Razem z Wujostwem mieszkała jeszcze jedna siostra Ojca. Wdowa z dwoma córkami, której męża Niemcy zamordowali w Buchenwald. Przeżyłem z Wujostwem ich tragedię, kiedy otrzymali informację, że ich najukochańszy syn pilot zginął w Wielkiej Brytanii. Świadkiem byłem przybycia ich drugiego syna strasznie owrzodzonego, z któregoś z niemieckich obozów koncentracyjnych. Dwa kilometry dalej Wujostwo dzierżawiło pięć hektarowe gospodarstwo. Będąc z ciotką na gospodarstwie przeżyłem bandycki napad sąsiada z synami. Ich zamiarem było przejęcie te pięć hektarów. Ciotka klęczała schylona pod parapetem okna przez które leciały kamienie a ja zupełnie bez strachu wlałem pod łóżko. U Wujostwa stałem się bardzo samodzielny. Potrafiłem założyć uprząż na konia i z bryczką wybrać się do miasta ale niestety daleko nie ujechałem. Wokół były torfowiska w których się kąpałem nie umiejąc pływać, ale potrafiłem nurkować. W miesiącu maju nauczyłem się łapać na oczko szczupaki wygrzewające się na słońcu. Jakiś czas na gospodarstwie pracował przybysz z kobietą mówiący po polsku i po niemiecku. Wanda i Tobiasz którego bardzo polubiłem. Byli uciekinierami z Prus gdzie grasowała Armia Czerwona. Był to 1946 rok. Po jakimś czasie oboje zniknęli prawdopodobnie odeszli do Niemiec.

Po wojnie byłem kompletnym analfabetą. Nigdzie nie było książek, a kiedy pierwszy raz byłem w kinie i na ekranie leciał samolot chowałem się za krzesło. Seniorzy rodu pod których byłem opieką byli bardzo zmartwieni, nie będąc pewni, że dożyją mojego wychowania. Chcieli oddać mnie do adopcji Polonii amerykańskiej. Taka była akcja za Atlantykiem. Komunistyczny terror szalał i bardzo dużo się działo. Przed tym wszystkim przyszła wiadomość, że we Włoszech w wojskowym szpitalu II-go Korpusu moja Mama była świetliczanką. Tam spotkała powstańca warszawskiego stryjecznego mojego brata Bernarda Klec Pilewskiego. Przy jego pomocy wytropiła mój pobyt. Mama przetrwała sowieckie łagry. Korpus zostawił ją w Teheranie z ciężką malarią bez szansy przeżycia i poszedł dalej. W tym czasie Ojciec na Węgrzech przez Czerwony Krzyż szukał Mamy i otrzymał wiadomość, że Mama nie żyje. Tak się nie stało i Mama dołączyła do Korpusu w Palestynie. Przez Egipt i Włochy z Korpusem dotarła do Anglii dokładniej do Londynu gdzie z kolei spotkała się ze szwagrem, mężem siostry z którą byłem podczas okupacji. Był internowany w Szwajcarii i zdecydował się na powrót do Polski. Miałem wtedy nie całe 10 lat. Poniżej jest mój pierwszy list do Matki jaki napisałem około 1946 / 1947 roku. List dochował się w Matki zbiorach.

Kochana Mammaśiu.  
Ucieszyłem się że żyjesz  
że domnie wrócisz i że nie  
będę już sierotą Kocham cię  
mammaśiu, i chciałbym cię  
widzieć i po-żpać jak naj-  
prędziej, i ucałować twój  
Kochane oczy i usteczka.  
Uczę się chodzić do III. Kl.  
Mam same piątki  
chorowałem trzy razy.

W tym miejscu podam informację o Ojcu która dotarła do mnie dopiero po powrocie z Anglii do Polski. Cały czas szukałem informacji o Ojcu co mogło się z nim stać, że nie przybył do mnie.

Ostatnią wiadomością otrzymaną od Ojca, była otwarta kartka z Węgier, około miesiąca przed Bożym Narodzeniem w 1945 roku. Pisał, że przyjazd jego się opóźnia i będzie sześć tygodni po Nowym Roku. Ojciec miał 35 lat, czekałem na niego, jechał do mnie i po mnie. Bardzo mnie Ojca brakowało. Z zachowanej korespondencji z Wujem internowanym w Szwajcarii, Ojciec potwierdził, że na Węgrzech zajmuje się tym samym co w domu.

Wracać miał z Węgier z miasta Esztergom. Ponieważ tak się nie stało, rodzina rozpoczęła jego poszukiwania, przez PCK, ale nie dały one żadnego wyniku. Również odpowiedź z adresu na Węgrzech była bardzo lakoniczna, że wyjechał w nieznanym kierunku. Będąc już w Polsce zgłosiłem się do IPN z przekonaniem, że jest tam na mnie komunistyczna teczka. Rzeczywiście taka była i to bardzo interesująca. Przede wszystkim interesowało mnie czy dowiem się cokolwiek o moim Ojcu. W teczce znalazła się notatka o mojej Matce, „**Mąż jej był oficerem zawodowym w przedwojennym wojsku**



polskim, w czasie wojny zaś przebywał na Węgrzech i prawdopodobnie zginął podczas nielegalnego przekraczania granicy polskiej w 1945r. - wg. oświadczenia biura poszukiwań zaginionych PCK.” I taka informacja z PCK zawarta została w teczce. Jaki powód, że UB zainteresowało się Ojcem. Użycie razem zestawu słów **prawdopodobnie zginął podczas nielegalnego** jest bardzo konkretnym i mocnym stwierdzeniem, na jakiej podstawie PCK mógł stworzyć ten fakt bez podania miejsca zbrodni. Słowo **prawdopodobnie** jest przykrywką wykonawców mordu. Kto osądził, że miało miejsce **nielegalnego przekroczenia**, czy PCK miało tam takich ekspertów.



Podanie, że PCK jest źródłem informacji jest po to by nie było śladu do przeprowadzenia jakichkolwiek innych badań. Raport tego komucha jest wystarczający, żeby stwierdzić, że bez wątpliwości Ojca zamordowali komuniści. Pierwsze pytanie i nie mam na nie odpowiedzi, czy w powyższym czasie była już oficjalna ochrona granicy polskiej a w ogóle czy była już dokładnie wytyczona i oznaczona granica Polski? Jeśli tak to powyższa teza potwierdza fakt dokonania przez komuchów aktu mordu. Jeśli nie, to południe Polski było miejscem przerzutu ludzi i granicę kontrolowali łowcy przerzutów. Mówi się o patrolach UB, KBW i NKWD. Zastanawiającym jest informacja Ojca o swoim przyjeździe. Czy była to z

premedytacją dezinformacja? Zdecydowanie jechał na Święta. Pod uwagę można wziąć zdradę. Węgry były już opanowane przez komuchów. Dlaczego ukrywano na Węgrzech, że wyjechał w nieznanym kierunku? Podejrzany jest w teczce, że **prawdopodobnie zginął nielegalnie przekraczając granicę w 1945 roku, i że ta informacja ma pochodzić z PCK według oświadczenia poszukiwań osób zaginionych.** Po co i kto poza rodziną szukał Ojca w PCK? Stworzona została bajka, konfabulacja dla przykrywki mordu. Jeśli zginął, gdzie się to stało, słowo *prawdopodobnie* wyklucza podanie takiego miejsca. Jakie były okoliczności śmierci jeśli nielegalnie przekraczał granicę, kto to stwierdził albo kto to musiał widzieć czy wiedzieć. Jest to konfabulacja. Takie poszukiwania przeprowadziła rodzina i bez jakiegokolwiek informacji. Teczka również podaje, że w czasie wojny przebywał na Węgrzech, że był polskim oficerem, nigdy Ojciec tym się nie afiszował.



Mieszkaliśmy jako cywile w Zegrzu w oficerskiej kwaterze. Chociaż w pociągu według Mamy był w mundurze. Skąd i gdzie znajduje się ta wiedza podana w tym raporcie i to po piętnastu latach od mordu? Ta informacja, z pewnością nie pochodzi z PCK. Do dzisiaj nie otrzymałem żadnej oficjalnej wiadomości o losie Ojca a był na służbie Rzeczypospolitej. Jaka była jego służba na Węgrzech też nie wiem. Czerwona hołota dobrze od dawna o Ojcu wiedziała. Gdzie się to stało? Kto mordu dokonał? Gdzie został pochowany? Żadnej takiej wiedzy nie posiadam.

Kiedy mąż siostry Mamy wrócił do Polski przeszedłem pod jego opiekę i Mamy siostry. W 1947 roku znalazłem się w Olsztynie gdzie kontynuowałem naukę w podstawowej szkole. Za swój Polski język musiałem się łąć ze starszą od mnie „wileńską inteligencją” do takiego stopnia, że zmuszony zmieniłem szkołę. Takie były czasy, że wszystkie problemy rozwiązywane były bijatyką na pięści. Często na codziennym porządku wracałem ze szkoły z podbitym limem albo rozciętą wargą. Było to normalnością. W rezultacie nabyłem wprawy w boksie. W nowej szkole wpadłem z deszczu pod rynnę.

Historii uczyła Żydówka o nazwisku Cegłowa. Podczas swojej lekcji ciągle lała mnie piórnikiem po łapach. Byłem twardy i dosyć zahartowany, więc uszyła worek wypełniony grochem na którym w rogu klasy i tyłem do wszystkich z podniesionymi do góry rękoma musiałem klęczeć. Przy tym mówiła żebym pomyślał o swojej Matce w Londynie. Matka pisała pod innym nazwiskiem. Miałem wtedy około 12-tu lat. Polscy nauczyciele poradzili żebym szybko zmienił szkołę i tak zrobiłem. Powiem szczerze, miałem szczęście, że nie byłem wtedy dorosły.

Wielkim sukcesem Wuja było zdobycie czeskiego radia marki Talizman. W moim życiu pierwszy raz widziałem takie dziwadło. Namiętnie słuchał stacji Wolna Europa a ja razem z nim, ale przykładając ucho do drzwi. W ten sposób poznałem prawdę o Katyniu, trzymając to ściśle tajnie dla siebie. Nie zapomniane w pamięci mam zdarzenie kiedy do kolegi z oficyny przybył z Białostoczczyzny kuzyn partyzant. Przedarł się przez kordon obławy KBW i był w drodze na Pomorze gdzie miało być pusto i tam miał się gdzieś skryć. Dzisiaj dopiero wiem, że grasował tam oficer NKWD Stolzman przysłany z Moskwy. Zajmował się tropieniem, ściganiem i mordowaniem polskich patriotów. Nie znam dalszych losów kuzyna kolegi, ale pary z buzi o tym się nie puszczało. Rzeczpospolita do dzisiaj jest dostępna dla wszelkiego rodzaju intruzów z obcych agentur włącznie z osiąganiem przez nich najwyższych stanowisk. O Monte Cassino dużo wiedziałem z opowieści przybyłej siostry z Anglii do siostry w oficynie. Była siostrą w szpitalu podczas bitwy. Na piętrze było dwóch sąsiadów. Jednym z sąsiadów był Wilniuk pierwszy skrzypek orkiestry olsztyńskiej. Regularnie dostarczał bilety na niedzielne koncerty jak również teatralne sztuki wystawiane w teatrze Jaracza. Byłem na sztuce ze słynnym aktorem Ludwikiem Solskim, jeśli dobrze pamiętam sztuką był „Pan

Jowialski” Aleksandra Fredry. Obowiązkowo zamiast kopania na podwórku szmacianki musiałem być obecny na wszystkich spektaklach na które były bilety. W drugim sąsiedztwie mieszkało małżeństwo staruszków z Wilna którymi opiekowała się córka. Chodziłem często do Pani Koszczej. Uroczą starszą panią która pisała za mnie wypracowania z języka rosyjskiego. Mąż jej był o dużej fizycznej posturze i wysokiej rangi oficerem, służył w gwardii cara. Słyszałem dużo opowieści i szkoda, że dzisiaj nic z tego nie pamiętam, ponieważ myślałem o podwórku i kopaniu szmacianki.



W ostatniej klasie szkoły podstawowej siedziałem w ławce z kolegą którego ojciec był w Wenezueli i zaopatrywał mnie w znaczki pocztowe. Należał do harcerskiej drużyny biało czerwonych chust która zesłała do podziemia. UB wykryło ich podziemne działanie, na ulicy Stalingradzkiej zamienionej z Jagiellońskiej. Rozbijali tam butelki z tuszem. Mieszkałem w dzielnicy zwanej zatorze na ulicy Jagiellońskiej. Wydało ich miejsce zakupu tuszu. Organizatorzy dostali wysokie wyroki więzienia. Kolega z ławki po dwóch tygodniach wrócił do klasy z cichym i wielkim uznaniem kolegów.

Uczęszczałem do Ogólniaka pod kontrolą komuny bez religijnego nauczania, ale za to najlepiej wyposażonego w laboratoria i z wysoką

klasą kadry nauczycielskiej, starej daty i bardzo wymagającej. Bliski byłem otrzymania wilczego biletu za ucieczkę ze sportowego obozu. Podróż z Gorlic do Olsztyna odbyłem na gapę a plecak wysłałem pocztą. Sportu na obozie nie uprawialiśmy, ale za to ganiano nas po kartofliskach na zbieraniu „amerykańskiej” stonki ziemniaczanej. Uprawianie szermierki w klubie sportowym nie przynależnym do szkoły również bardzo surowo zostało ocenione. Był to jedyny klub w tej dyscyplinie sportu. W szabli byłem najlepszym młodzikiem. Przez artykuł w lokalnej prasie skończyły się moje sportowe aspiracje. Podwórkowa drużyna gry szmacianką (nie było piłek) była najlepszą w okolicy. Porą zimową były łyżwy i całodniowe niedzielne biegi w terenie na nartach z kostkami cukru w kieszeni. Nie było telewizji, ale dużo dla zabawy i dużo pomysłów. Urządzaliśmy nawet loterie podwórkowe. Na pół roku przed maturą opiekunowie przekonali mnie żebym wstąpił do komunistycznej młodzieżowej organizacji, przedsiönka partii komunistycznej. Powodem było to, że pomimo zdania egzaminów na uczelnię, żeby zostać przyjętym konieczna była przynależność do tej organizacji. Z powodu Matki w Londynie z wielkim trudem przyjęto mnie, stwierdzając że zrobią ze mnie jeszcze swojego człowieka. Oczywiście dostając się na studia zupełnie o nich

zapomniałem. Będąc studentem Politechniki w Warszawie miałem w akademiku zupełnie niespodziewaną wizytę, kolegi z ostatniej szkoły podstawowej w Olsztynie z którym będąc smarkaczami wybieraliśmy się do Argentyny. Opiekunowie wykryli pomysł Argentyny i w dzień ucieczki zostałem w domowym areszcie a partner gwizdał pod oknami. Kolega ten przybył do akademika, nie znając mojego adresu. Był w towarzystwie drugiej osoby w mundurze lotniczym, z propozycją ucieczki samolotem do Szwecji. Z miejsca podejrzewając podstęp komuny bez wachania odrzuciłem pomysł i było to z nim moje ostatnie spotkanie. W 1956 roku uczestniczyłem w proteście w akademiku przeciw krwawym zajściom w Poznaniu. W następnym roku obecny byłem w Warszawie w kilkudniowym proteście, kiedy komuniści zamknęli czasopismo „Po prostu”.

Po tych wszystkich wydarzeniach otworzył się dla mnie inny świat. Udało mi się uzyskać paszport i z kilkoma dolarami w kieszeni na jesieni w 1957 roku wyjechałem pociągiem do Matki w Londynie. Anglikom nie podobało się, że



chciałem pozostać z Matką. Oficjalnie nie dawali mi stałego pobytu twierdząc, że Matka nie jest w stanie mnie utrzymać czy wykształcić. Od polskiej emigracji nie było pomocy bo nie mieli nic do powiedzenia. W tamtym czasie kobiety nie miały zbyt wielu praw w Anglii. Zmienili szybko zdanie kiedy uzyskałem amerykańskie obywatelstwo i w końcu zostałem w Anglii z przezwiskiem „bloody foreigner”. Złożyłem przysięgę na amerykańską konstytucję

Do tego momentu byłem w bardzo stresującej trudnej sytuacji. Nie wiedziałem i nie byłem pewien jaki czeka mnie los. Mogła to być nawet deportacja do komuny. Przez ponad rok lawirowałem pomiędzy angielskim Home Office (urząd bezpieczeństwa) i Polskim

Konsulatem z którym musiałem pozostawać w kontakcie. Ważność paszportu była przedłużana a wiza angielska miała ważność trzy miesiące a nawet i miesiąc.

Dla komunistów byłem ich własnością. W zapiskach teczki dochowała się notatka, że zostając w Anglii zdradziłem Ojczyznę. Kto w tym czasie by chciał się tym przejmować czy wracać do tych komunistycznych parszywych zbrojeńców. Ze wspomnianej komunistycznej teczki dowiedziałem się jak usilnie w tej komunistycznej placówce próbowano zwerbować mnie do szpiegostwa. Bynajmniej Bondem się nie czułem ani nie byłem, chociaż na wyrost dostałem już pseudonim James. Całej tej operacji obfity opis

zamieszczony jest w teczce. Wszystko rozpoczynało się od formy towarzyskiej następnie miało przejść w przyjaźń żeby w końcu doprowadzić do wątku patriotycznego i finalnie miała przyjść oferta współpracy agenturalnej. Opinia była, że byłem obiecującym kandydatem, nawet pod względem fizycznym. Byli bardzo pewni, że z sukcesem mnie zwerbują. Ubecja próbowała zapanować nad młodzieżą przybyłą z Polski do rodzin. Teczka jest bardzo bogata, można się z niej zorientować, że dla prowadzącego majora utrzymanie się komucha na tej placówce było lukratywnym stanowiskiem. Konfabulował raporty z nie odbytych spotkań. Z kolei nie miał pojęcia, że był wykorzystywany przez studentów bez pieniędzy na przynoszenie alkoholu na prywatki przez nas urządzone. Aż w końcu nastąpiło oberwanie chmury, Anglicy deportowali studenta fizyki z uczelni Regent Polytechnic, której też byłem studentem. Przyjechał do ojca pułkownika armii Andersa. Propaganda angielska szumnie opisała jego jako *full stop spy*, szpiega w kropce w której miał wysyłać raporty komunie. Wszystko było swingowane, i wywołało anty polskie poruszenie.

Materialnie początki były to bardzo trudne. To czasy bez widzenia jakichkolwiek pozytywnych perspektyw na przyszłość. Zgłosiłem się i chciałem wstąpić do amerykańskiej armii z myślą o lotnictwie. Niestety, ale według amerykańskiego prawa mogłem to zrobić tylko na terytorium USA, a ja nie miałem pieniędzy na bilet. Cokolwiek, ale najważniejszym było to, że ocalałem przed komunistycznym terrorem zniewolenia. W 1960 roku, już jako londyński student, przez miesiąc wakacji pracowałem na budowie i z zarobionymi pieniędzmi i amerykańskim paszportem w drugim miesiącu wakacji odbyłem jako wolny człowiek pierwszą w życiu podróż. Wyruszyłem autostopem zwiedzać Europę. Dla kogoś z komuny oglądanie, zwiedzanie wolnego świata odbywało się z niebywałymi emocjami. Paryż, Lazurowe Wybrzeże, Włochy, Wenecja, Szwajcaria, Francja. Pouczające wrażenia. Podróż ze zwiedzaniem, dużo przygód a w sumie wielkie doświadczenie. W Londynie z kolegami studentami hucznie uczestniczyliśmy w rozrywkowych czasach lat sześćdziesiątych *roaring sixties*. Wzięliśmy nawet udział w epizodzie filmu „Libel”, a krótko mówiąc nie było dla nas barier. Na studiach nie wykluczając Polaków miałem międzynarodowe towarzystwo. Było dużo studentów z Bliskiego Wschodu, z Libanu, Palestyny, Izraela oraz Afryki. Zaprzyjaźniłem się ze studentami z Libanu. Z jednym z nich wracając z uczelni musieliśmy dość nie spodziewanie stawić czoła pięciu osobnikom. Razem dosyć sprawnie i pokazowo daliśmy sobie z nimi wszystkim radę. Po tym wydarzeniu świadkowie widząc dysproporcję przychodzili z gratulacjami. Zupełnie nie spodziewałem się, że następne wakacje po autostopie będę spędzać w Libanie na zaproszenie Libańczyków. Samochodem przez 10 dni podróżowaliśmy przez Europę i Bliski Wschód. Cieśnina Bosfor pomiędzy Europą a Azją nie miała jeszcze żadnego mostu, dalej promem i do Libanu.



W tym czasie Liban był Szwajcarią Bliskiego Wschodu a ludzie niezwykle serdeczni. Poznałem cały Liban, królewskie dwa miesiące. Wspaniała kuchnia. Starożytne rzymskie ruiny Baalbek z festiwalem libańskiego folkloru, czy parki cedrów. Bardzo dużo wspomnień. Z powrotem, z portu Bejrut z samochodem przez sześć dni płynęliśmy statkiem do Aleksandrii w Egipcie, Syrakuz na Sycylii, Neapolu i na koniec na ląd w Marsylii i samochodem do Anglii. Dla rozrywki w wolnych chwilach graliśmy w brydża, a w Londynie często graliśmy party fiksi w angielskich brydżowych klubach.

Skończenie z wyróżnieniem inżynierskich studiów dawało mi licencje na wykonywanie zawodu inżyniera w całej Europie, poza Londynem była to Holandia i Berlin Zachodni. Przeważnie w petrochemii i przemysłowym budownictwie. Pracę bez problemów wykonywałem wynajmując się na kontraktach po uzgodnieniu godzinowej stawki. Wielokrotnie wystarczyło mieć polskie nazwisko a było pytanie kiedy możesz rozpocząć pracę. Kontrakty przeważnie trwały około sześciu miesięcy. Praca na kontraktach była bardzo wymagająca i musiała być wydajna z wysokim wynagrodzeniem. Nie zawsze wiedziałem jakim celem projekty mogły służyć. Dla ciekawostki, projekt Francuzów po skończeniu sprawdzany był przez francuskiego konsultanta, związki zawodowe i ubezpieczenie. Po konstrukcji oceniłem, że projekt mógł być militarny. Dla Niemców, wszystko włącznie ze ścianami działowymi było z bardzo mocno zbrojonego betonu. Powietrze i woda wchodząca i wychodząca były filtrowane. Projekt z pewnością dotyczył biologicznych eksperymentów. Dla Amerykanów były to projekty dotyczące konstrukcji pod maszyny wibrujące. W projekcie dla Bliskiego Wschodu, zamówienia na budowlane materiały było podwojone ze względu na inne cele. Ukończony projekt pałacu dla jednego z arabskich emirów uległ kasacji ponieważ nad nim, czy blisko przelatowała linia lotnicza.

W Londynie cały czas obracałem się wśród Polaków, politycznych emigrantów. Zawsze była tęsknota za Polską kulturą. Anglikom nigdy nie zapomniałem zdrady Polski po II Wojnie Światowej. W podsumowaniu mojego pobytu w Anglii, wszystko zawdzięczam co osiągnąłem mojej Matce, posiadała dużo cierpliwości. Emigranci byli to wspaniali ludzie o wielkiej kulturze, którzy podobnie jak moja Matka byli po przeżyciach w sowieckich łagrach, w przeciwieństwie do przeżyć Polaków w kraju z doświadczeniem niemieckich bandytów. Zawsze podczas wszystkich świąt stół u Matki był pełen samotnych Rodaków, od których bardzo dużo można było się dowiedzieć. Sam kontakt z nimi mogę przyrównać do ukończenia uniwersyteckiego fakultetu. Nowi przybysze z Polski byli innego pokroju. wielu z nich potrzebowało materialnej pomocy, ale nie wszyscy potrafili ją docenić. „Pożyczenie” mojego sportowego samochodu skończyło się na policji. Odmówiłem policji na wytoczenie im procesu. Dzisiaj obydwaj są w Kanadzie gdzie nigdy by się tam nie znaleźli gdyby odbył się proces. Innemu

osobnikowi zrobiłem ogromną przysługę po przybyciu jego żony, za tą pomoc kilka lat później wytoczył mnie proces sądowy dla wyciągnięcia dużej kwoty pieniędzy. Wygrałem z dużymi kosztami. Od tego czasu mam motto, należy się zastanowić jak pomagać, a jeśli jest stać to raczej dać. Bezinteresownie zawsze pomagałem, miałem takie możliwości. Spłacałem dobrem które sam kiedyś otrzymałem. Podczas wizyty u znajomych zastałem studenta który przyjechał na zaproszenie a zapraszający wyjechali zagranicę i ich nie zastał. Zabrałem do siebie studenta z Warszawy Akademii Medycznej. Pozostał u mnie i zostaliśmy w wielkiej nieustającej dozgonnej wielkiej przyjaźni. Spotykaliśmy się bardzo często jak nie w Londynie to u niego w Warszawie. Natura obdarzyła mnie jako takim wyglądem, ale żadne miliony nie kupiły mnie. Z bardzo uroczą, dużej klasy, inteligentną łodzianką założyłem rodzinę i tak jest do dnia dzisiejszego. Przyjechała z Polski do siostry Matki, łączniczki w Powstaniu Warszawskim, inna w nim zginęła. Ojciec był partyzantem u „Szarego”. Prowadziliśmy dostatni tryb życia z licznymi podróżami, w sumie razem i osobno zwiedziliśmy prawie pół świata. Mogę się pochwalić że kilkakrotnie przejeżdżałem przez słynną Somosierę ze zwycięstwa polskich szwoleżerów nad Hiszpanami w drodze na Madryt w służbie u Napoleona. Walka byków i flamenco w Hiszpanii była moją pasją. Mama w Hiszpanii miała dom. Na Monte Cassino była moja Rodzina, a mnie rozpiekała duma, że na gruzach mój krewny jako pierwszy zatknął sztandar swojej jednostki, było to przed polską flagą. Ale nie tylko, zawsze byłem dumnym ze swoich przodków starożytnych Prusów, bez nich nie byłoby mnie. Dumny z ich historii, jak i starożytnych Prusów. Nigdy nie uczyniłem nic żeby tą ich historię zhańbić. Dotyczyło to również przynależności do Kultury Polskiej w której uczestniczyli starożytni Prusowie i moi przodkowie. Dzisiaj takiej wiedzy nie ma u słowiańskich Polaków, ale nie stanowi to dla mnie problemu, bo najważniejsze że jest ona w mojej wiedzy.

Nadal z Libańczykami łączyła mnie bardzo bliska przyjaźń. Byłem wśród nich jak członek rodziny. Przyjaciel ze studiów zaproponował mi przyjazd do Afryki na poprowadzenie budowy infrastruktury lotniska w Abuji nowej stolicy Nigerii. Angaż przyjąłem, ale na koniec ostrzegł mnie, że tam gdzie pojedę nie wystąpi by swojego psa. Odpowiedziałem że jak dobrze płaci to dam sobie radę. Swoją drogą muszę się przyznać, że przed tym nie prowadziłem żadnej budowy. Dopiero dużo później dowiedziałem się, że otrzymałem ten angaż ze względu na uczciwość. Pomimo braku doświadczenia budowę skończyłem w dobrym czasie. Znalazłem się jako jedyny cudzoziemiec wśród biznesu Libańczyków w zachodniej Afryce multimilionerów, chrześcijan, maronitów, dzisiaj jeden z nich notowany jest miliarderm. Zdobywanie korzyści materialnych było dla nich zawodem. Często uczestniczyłem wśród nich na przyjęciach podczas których dyskutowano i podejmowane finalne finansowe decyzje. Powiedziane słowo było u nich kontraktem. W żadnym przypadku

niedopuszczalnym było jego nie dotrzymanie. Byłem światkiem takich spotkań. Dotyczyło to elity. Wszyscy poniżej zatrudnieni samo przez się będąc w elitarnym zatrudnieniu mieli możliwości innych szerokich kontaktów i osiągać dla siebie z nich zyski, ale nigdy nie przez nieuczciwość do pracodawców. Co parę lat odchodzili już jako nowi milionerzy.

Afrykańska przygoda miała swój początek z nastaniem 1981 roku. Do zaznajomienia się z podstawowymi tajnikami Afryki na krótki okres czasu dostałem asystenta i była to bardzo dobra decyzja. Spotykały mnie różne sytuacje ciekawe, nieprzyjemne i groźne z bliską utratą życia nawet przy użyciu palnej broni. Zawsze ratowała mnie odwaga, szczęście i prawość w postępowaniu. Lokalni uważali mnie za super komandosa, ze wszystkiego wychodziłem cało, chociaż niejednokrotnie różnie się to mogło skończyć. Darzono mnie również szacunkiem. Stosunki z załogą były w dobrych relacjach, na uroczystość moich urodzin otrzymałem od nich żywego kozła. Dotychczas nie znane takie wydarzenie. Praca była w prymitywnych trudnych warunkach. Były wydarzenia poza kontrolą. Jednym z takich wydarzeń był bunt robotników, jakoby nie miało być świątecznego bonusu. Byłem w łóżku po ciężkim ataku malarii. Tłum robotników z budowy lotniska około dwustu osób przybył i otoczył moją siedzibę. Wszyscy biali pouciekali z budowy w nieznanym kierunku. Zdażyłem wysłać stewarda po ochronę lotniska i wytoczyłem się z łóżka siadając na przeciw tłumowi. Wystarczyło żeby tylko jeden wykazał agresywność. W ciszy po upływie wielu minut przybyła uzbrojona ochrona. Z bronią maszynową otoczyli tłum a szef przedarł się przez nich i dotarł do mnie ze słowami co chcesz żebyś zrobił. Byłem bardzo słaby i wkurzony, powiedziałem, że wszystkich wywalam. Szef ochrony odpowiedział, nie rób tego, ja i ty będziemy mieli problemy. Wskaż przywódców i będzie po wszystkim i tak się stało. Przy lotnisku ciągle jeszcze mieszkali właściciele gruntów którzy za ziemię pod lotnisko całej zapłaty nie otrzymali. Droga dojazdowa do lotniska została zablokowana ściętym drzewem za którym stali uzbrojeni w łuki wojownicy. Ale, wkrótce dostali kilka radiowych odbiorników a szef motocykl i było po wszystkim. Kontrakt budowy lotniska należał do Francuzów oni budowali pas startowy a budowę infrastruktury oddali Libańczykom. Francuz który trzymał nadzór nad całokształtem budowy lotniska nie był inżynierem, tylko bankrutem któremu przyjaciel dla finansowego wsparcia dał tą fuchę. Przeszkadzało jemu, że byłem z angielskim dyplomem inżyniera. Cały czas wyszukiwał moich błędów, dążąc do usunięcia mnie z budowy. Aż w końcu sami Francuzi wytłumaczyli jemu, żeby pozwolił mnie skończyć konstrukcyjnie lotnisko, inaczej będzie problem z jego ukończeniem. Z niedalekiej miejscowości Suleja często odwiedzali mnie Polacy inżynierowie, architekci, doktorzy którzy licznie uczestniczyli przy projektach budowy Abuji. Wpadali żartując, że sprawdzają czy jeszcze żyję. Zawsze serdecznie i gościnnie przyjmowani a niektórzy brali

fuzje i szli do buszu postrzelać. Wszystkie zakupy robiłem osobiście na lokalnym targu w kramach z blaszanek na których dachach siedziały sępy. Warzywa, owoce i mięso wszystko po zakupie było solidnie odkażane. Mięso, kupowałem tylko w dobrze czerwonym kolorze i była to tylko polędwica, przechowywali ją w wodzie w beczkach po smole a papier używany na targu był z worków po cementzie. Nocą na pasie startowym w reflektorach jeepu odbywały się polowania na króliki, zauważony był też leopard. Rojło się od jadowitych węży, nocą myszy potrafiły chodzić po głowie. Sprowadzone koty, wyeliminowały wszystkie nieprzyjemności włącznie z owadami, a na koniec wyrosło duże stado dzikich kotów. Miałem prądotwórcze generatory i własną oczyszczalnię wody. Nigdy nie stroniłem od Polaków, w Afryce z mojej inicjatywy kilku dostało ze mną zatrudnienie na dużo lepszych warunkach aniżeli te które dotychczas mieli. Siali intrygi, że nic nie robię, że na pewno za dużo zarabiam, że za dużo mniej mogliby mnie zastąpić. Doszło do tego, że był moment, że chciałem zrezygnować. Coś takiego nie mogło się przydarzyć wśród londyńskiej emigracji.



Często zdarzały się wstrząsające widowiska, o których ciężko pisać, jadąc za ciężarówką ledwo ominąłem leżące na środku jezdni zwłoki przejechanego człowieka. Przez jakiś czas trzęsły się mnie ręce na kierownicy. Nie był to



jedyny przypadek. Nie wskazane było zatrzymywanie się z niesieniem pomocy. Jak później dowiedziałem się od Rodaków, był przypadek polskiego lekarza który to zrobił, zostawiając dziecko swoje w samochodzie i stracił życie. Natychmiast padało podejrzenie, że osoba która zatrzymała się jest winowajcą a lokalni byli bezwzględni. Pewien odcinek drogi musiałem regularnie pokonywać, stał tam w rowie spalony pikap z siedzącym spalonym kierowcą i pasażerem. Tak było z miesiąc, przykry widok. Wszystkie mosty jakie w Nigerii przejeżdżałem były jednokierunkowe dla dwu kierunkowego ruchu. Czasami szły jeszcze tory kolejowe. Przy tym prawo pierwszeństwa było dla większych. Byłem bardzo blisko, kiedy w ostatniej chwili ledwo wydostałem się z mostu, żeby nie znaleźć się pod mostem, gdzie pełno było już złomu. Inna historia, na długim moście z koleją będąc na środku mostu, razem z żoną zostawiając samochód uciekaliśmy. Kierowca jadący na moście okazał się normalnym, wróciłem i wymanewrowałem samochód bez kolizji. Podczas pory deszczowej zdarzało się, że asfalt z drogi został wymyty. Poznawałem cały czas prawdziwą Afrykę, będąc z żoną na rynku w buszu mali chłopcy podchodzili do niej i ciągle ją szczypali, by w ten sposób sprawdzić czy ma skórę. Białego człowieka nazywali *bature* człowieka bez skóry. Po skończonych konstrukcjach lotniska przeniesiono mnie z moją załogą na budowę sieci stacji do komunikacji satelitarnej. Rezydowałem w miejscowości która pięć lat wcześniej została stratowana przez stado słoń. Stacji było osiem oddalonych od siebie po około 70 kilometrów. Projekt należał do Siemensu reprezentowany był przez Szwajcara. Dostałem nowy samochód którym w ciągu roku przejechałem sto tysięcy kilometrów na tych samych oponach. Peugeot się sprawdził. Dużo było urozmaicenia. Przy jednej stacji była wioska, kiedy się pojawiałem następowała panika i w popłochu ucieczka. Innym razem, odwiedzając ostatnią stację, zażartowałem czy czasem lwy się nie pojawiły. Zaskoczyła mnie odpowiedź, że w niedalekiej wsi lwy zagryzły kobietę i krowę. W Afryce nigdy nie wiadomo co się może wydarzyć. Najbardziej sprawnymi pracownikami byli Afrykanie z Ghany i w większości takich miałem zatrudnionych. Niestety rząd w Nigerii wydał dekret przeciwko ich zatrudnieniu z natychmiastową datą opuszczenia kraju co wywołało wielką panikę. Była wielka obawa, że podczas usuwania obywateli z Ghany może wydarzyć się dużo brutalności. Z bazą firmy w Lagos kontaktowałem się drogą radiową, dając sygnał o natychmiastowe dostarczenie pieniędzy na wypłatę pracownikom, inaczej sprzęt mógłby zostać uszkodzony. Samolot z buchalterem wylądował w Abuji a kierowca dowiózł mnie na lotnisko. Dystans był około 300 kilometrów. Otrzymałem pieniądze i sam siadłem za kierownicę żeby szybko wrócić za dnia. Po zmroku w Nigerii na drogach było niebezpiecznie, odbywały się bandyckie napady. Napadniętym często żeby uniemożliwić wołanie o pomoc przestreliwano kolano. Kilka kilometrów po opuszczeniu lotniska w oddali

zauważyłem na poboczu biały pikap z dwoma stojącymi osobami. Było to dla mnie podejrzane i ostro dodałem gazu. Przed mijaniem ich zauważyłem podnoszoną rękę z bronią palną. Udało się, szczęśliwie nie trafił i dotarliśmy do domu. Blisko ukończenia konstrukcji stacji dowiedziałem się, że firma prowadziła także budowę rezydencji dla przyszłego prezydenta kraju i były problemy. Wezwano mnie do inspekcji czy można ją uratować. Po przyjeździe i w krótkim czasie inspekcji stwierdziłem, że budowa nadaje się tylko do wyburzenia. Sprawdzone fundamenty były koloru piasku i wszystko pękało. W związku z tą sytuacją sprowadzono mnie żeby w innej lokalizacji i na nowo rozpocząć budowę wspomnianej rezydencji i jego brata. Każdego miesiąca przyjeżdżała po mnie limuzyna na zdanie raportu o postępie budowy. Również regularnie odwiedzał mnie przyszły następca Sultana na całą zachodnią Afrykę, żeby przy kawie porozmawiać o polityce. Sam miałem rezydencję z basenem i kortami tenisowymi. Nie znaczyło to, że nie pojawiały się węże, nawet z takim określeniem jutro będzie za późno „tomorrow be late”.

Obok mnie mieszkał szef francuskiej firmy trzecie pokolenie francuski Polak żonaty z warszawianką. Gdyby nie wojskowy pucz mieliśmy zamiar założyć firmę budowlaną przy dobrych kontaktach z miejscowymi wpływowymi Afrykanami. Jego francuska firma przez nie zapłacone milionowe koszty kontraktu uległa likwidacji. Sprzedawał mi sprzęt a ja dalej sprzedawałem, zyski szły do walizki na poczet przyszłej firmy. Podczas Wielkanocnych Świąt w Londynie z telewizji dowiedziałem się o wojskowym puczu w Nigerii. Wróciłem zastając zupełnie inną sytuację, posiadanie dużej kwoty pieniędzy nie na koncie w banku a w gotówce mogło się skończyć kryminałem. Nastąpił wydruk nowych banknotów. Po ciemku pojechałem na pustynię i wszystkie banknoty wyrzuciłem, a była to pokaźna kwota. Zauważyłem, że nie u wszystkich byłem popularny i był to sygnał, że powoli powinienem zwijać się z Nigerii. Powodów było wiele. Samolot lokalnych linii który z Lagos dowiózł mnie do celu podczas lądowania uległ tak wielkim wibracjom że bagaże spadały z półek. Dwa tygodnie później rozbił się w Jos ze wszystkimi pasażerami. Zawsze podczas zakupów pomagałem Polce z dwójką dzieci, która wyszła za geodetę z Ghany wykształconego w Polsce. Uposażenie jego było lokalne i nie stać ją było na europejską kuchnię, dostatnio im się nie powodziło.

Przed opuszczeniem Nigerii dostałem jeszcze jedną misję. Do sprawdzenia było moje lokalne miejscowe lotnisko, przez które przeszła niespotykana wichura. Z terminalu podniosła dach do pionu i przeniosła kilka metrów za terminalem, kładąc dach na plecach. Konstrukcja dachu była bardzo lekka, przestrzenna ze skręconych rurek zakotwiczonych kotwami w betonowych kolumnach. Każda kolumna miała cztery kotwy, ale konstrukcja była tak niedokładna, że nie wszystkie pasowały do zakotwiczenia. Nakrętki

pozrywane na kotwach, były na kolumnach tylko pojedyncze reszta otworów już na kotwy nie pasowały. Projekt terminalu również nie należał do udanych. Właściciela firmy która wybudowała ten terminal poznałem kiedy z kamerą odwiedził mnie w Abuji. Filmował piękne krajobrazy i atrakcyjną naturę która nas tam otaczała z myślą, że jadąc na urlop pokaże wszystko swoim dzieciom w Europie. Bardzo smutna historia po przyjeździe w piątym dniu nastąpił jego zgon. Diagnoza nie była poprawna, zamiast grypy okazała się nieuleczalna mózgową malarią roznoszona przez komary tylko w pewnym rejonie Afryki. Kończyła się śmiercią albo totalną niesprawnością. Mieliśmy obawy czy lokalne komary podczas jego pobytu w Abuji mogły ją nam przenieść. Również tragicznie kończyło się wchodzenie do stojącej wody.

Po kilku latach w Nigerii wróciłem do Londynu, w którym poza pracą odnawiałem towarzyskie kontakty. Zauważyłem duży rozwój komputerów i zrozumiałem, że wkrótce w projektowaniu zastąpią one pracę inżyniera. Sama inżynieria przestała być już dla mnie tak interesująca kończyły się projekty przemysłowe i petrochemiczne. Zawsze w moim zainteresowaniu były antyki. Posiadałem o nich wystarczającą wiedzę. Rezultat był taki, że otworzyliśmy sklep z antykami. Zajęcie absorbujące i bardzo ciekawe, ale spóźnione o conajmniej kilkanaście lat. Nic nie tracąc zamknąłem ten interes. Towarzysko z pasją na planszach grałem w gry wojenne z byłym oficerem dwójki armii Andersa. Przeważnie były to napoleońskie bitwy spreparowane przez emerytowanych oficerów z Pentagonu. W towarzystwie miłośników białej broni zaangażowałem się z emigracyjnymi znakomitościami i również kolekcjonowałem Poloniki. Zbierając fundusze na polskich olimpijczyków uczestniczyłem w Klubie Olimpijczyka, przyczyniając się do znacznego zbioru funduszy. Z tego powodu uczestniczyłem z żoną w Polsce na noworocznych balach sportowców. Nie obyło się bez kontaktów z Polskim Konsulatem. Po sąsiedzku poznałem polskiego dyrektora firmy z którym po wypiciu kilku lampek wódki dowiedziałem się, że gdyby chciał mógłby wpakować mnie kulkę w łeb i to bez żadnych konsekwencji. Czasami ta banda była wesoła. Od jego następcy miałem ofertę zastąpienia w Anglii sędziwego rezydenta handlu bronią. W komunie Czechy i Polska produkowały broń. Polska była w oficjalnej kooperacji z Wielką Brytanią. Byłem świadkiem jednej z takich inicjatyw. Zdecydowanie tą i wiele innych ofert odmówiłem nie chcąc znaleźć się w Tamizie. Nie przyjąłem bardzo intratnej propozycji wysyłanie paczek do Polski przez linię lotniczą, a nie jak dotychczas tirami. Odrzuciłem ofertę handlu starymi, złomowanymi, przemysłowymi komputerami, były w tym milionowe zyski i możliwość spędzenia kilku lat w kryminale. Wolałem zarabiać pieniądze w inżynierii.

Rok 1990, entuzjastycznie wróciłem do Polski, z wielkim przekonaniem, że wracam do Polskiej Kultury. Założyłem pionierską produkcyjną firmę zatrudniając około 25 osób. Trzy pełne tiry przywoziły maszyny. Dla praktyki

Polaków w tej nowej dziedzinie sprowadziłem Anglika emeryta. Nigdy się nie spodziewałem, że prowadzenie gospodarczej działalności w Polsce można przyrównać do takiej jaką widziałem w Afryce. Niespodziewanie otrzymałem propozycję zapłacenia haraczu. Nie ustąpiłem i wszystko skończyło się poprawnie. Razem z firmą uczestniczyłem w kampanii wyborczej ROP-u popierając Premiera Olszewskiego z hasłem **KUPUJĘ POLSKIE PRODUKTY ŻEBY POLAK MIAŁ PRACĘ**. Z Premierem jeszcze później miałem kontakt kiedy reprezentował Prezydenta w Sejmie. Pytałem czy Prezydent przyjąłby patronat nad filmem „Amerykański korespondent”. Był to filmowy reportaż z niemieckiego ataku we wrześniu 1939 roku na Warszawę w wykonaniu amerykańskiego reportera. Pozytywna aprobata z Kancelarii Prezydenta przyszła w dzień smoleńskiej narodowej tragedii. Na zaproszeniu premiery filmu nie było tytułu Prezydent tylko jego nazwisko. Byłem rozczarowany brakiem szacunku. Z przyjemnością uczestniczyłem w Towarzystwie miłośników Marszałka oraz miłośników Polskiego Oręża. Z wizytą byłem w Wilnie, Kaliningradzie, Lwowie, Kijowie, na zamku w Chocimiu w przepięknej twierdzy Kamieńcu Podolskim, przejechałem całą Ukrainę. Byłem w Rosji w Krasnodarze i tam nad Morzem Czarnym. Firma miała tam klienta, spotkanie odbyło się z wielką gościnnością bez konfliktów. Słyszałem tylko warkot samolotów lecących na Czeczenię. Z powrotem wróciłem przez Kursk i Białoruś.





Nieoczekiwanie otrzymałem propozycję zostania prezesem „słupem”, którą bez wahania odrzuciłem. Unikałem wszystkich ofert które polegały na odpowiedzialności z pozbawieniem swobody w podejmowaniu decyzji. Generalnie takie propozycje, traktowałem jako krok dużego ryzyka. Wszystkie odmowy uchroniły mnie od wielu nieprzewidywalnych konsekwencji. Po blisko dwóch dekadach moja przedsiębiorczość zakończyła się katastrofą. Firmę z niedzieli na poniedziałek strawił zupełnie nie przypadkowy pożar i tak po kilkunastu latach zakończyła się moja gospodarcza inicjatywa. Straciłem dużo pieniędzy, dużo czasu, wysiłku w budowaniu firmy. Nie zostawiając żadnych długów firmę zlikwidowałem. Od tego momentu zaznałem wielki spokój. Zostałem wolnym człowiekiem od nieuczciwego chaosu, od pracowników, pieniędzy i korupcji. Straciłem kontakt z nieuczciwością.

Nie jestem w żadnej organizacji, nie mam przywiązania i sentymentu do jakiegokolwiek miasta, ale zawsze tak jak to było z moimi przodkami popieram Polską Rację Stanu. Schroniłem się w małej miejscowości i cieszę się, że jestem na łonie natury. Wróciłem do Polski z zasobem genealogicznych materiałów, badań dotyczących historii rodu przeprowadzonych przez śp. stryjecznego brata w Londynie. Nie czułem się na siłach żeby zakończyć historię rodu. Ale, zainteresowałem profesora z Uniwersytetu Warmińsko Mazurskiego przedstawiając jemu wszystkie materiały i poprosiłem o dokończenie tego dzieła. Profesor zapoznał się z materiałami, przyjął propozycję. Dwukrotnie wyjeżdżał do Berlina dla uzupełnienia i dokończył średniowieczną historię rodu. W druku udostępniłem sagę rodzinie. Profesor w dalszym ciągu badań wydał dodatkową pozycję uzupełniającą historię rodu. Być może, że ta cała publikacja wzmogła zainteresowanie starożytnymi Prusami. Wkrótce po zaproszeniu na wygłoszenie odczytu na zamku w Olsztynie znalazłem się w gronie badaczy ziemi Warmińsko Mazurskiej. Z wielkim zainteresowaniem przez szereg lat uczestniczyłem we wszystkich naukowych spotkaniach. Dużo się nauczyłem, poznałem ich sposób naukowego myślenia, jak przedstawiali, analizowali historię starożytnych Prusów. Wywołało to u mnie wiele wątpliwości co do ich naukowej rzetelności. Rozpocząłem na własną rękę zbierać materiały o Prusach gdzie tylko się dało i porównywać je z tymi które przedstawiali historycy. Strona internetowa stała się dla mnie szerokim kontaktem ze światem dla którego temat Prusów był znajomy albo bliski. Miałem dwukrotną wizytę z Niemiec także tamtejszego szefa Związku Prusów Tolkemita. Złożyłem wizytę w Berlinie ciężko choremu potomkowi Prusa który przekazał mi całą kolekcję materiałów wydanych w Niemczech w temacie dotyczącym Prusów. Posiadam pokaźną bibliotekę dotyczącą starożytnych Prusów.

W międzyczasie otrzymałem spis nazwisk potomków rodu którzy wyemigrowali do Stanów Zjednoczonych. Trzy lata zajęło mi, przy pomocy kuzyna, lokalnie mieszkającego skąd pochodził ród, żeby skończyć drzewo genealogiczne rozpoczęte w Londynie przez stryjecznego brata. Z innym kuzynem zorganizowaliśmy dwa rodzinne zjazdy za każdym razem z blisko dwusetką osób. W kościele została umieszczona pamiątkowa tablica. Obecni byli potomkowie z USA i Anglii. Podczas drugiego zjazdu który okazał się pożegnalnym, wyłoniła się nowa grupa z chęcią lepszej organizacji następnych zjazdów. Ale, nigdy już żaden zjazd się nie odbył i żaden już się nie odbędzie. To były tylko takie rodzinne idylle. Pamiętam powojenne świąteczne rodzinne spotkania, są one już nie do powtórzenia i trzeba o czymś takim zapomnieć. Po wydaniu sagi doszło do mojej wiadomości, że wydałem ją dla siebie ponieważ zakończyłem swoją historię. Nikt o tym nie wie, że przed wydaniem odbyłem podróż po wszystkich klanach szukając osoby żeby znaleźć kogoś współczesnego żeby z jego historią zakończyć sagę, takiej osoby nie znalazłem. Zapewniam, że większość z nich nie zna imienia swoich dziadków, nie mówiąc o historii rodu, ale za to są z dużymi ambicjami.

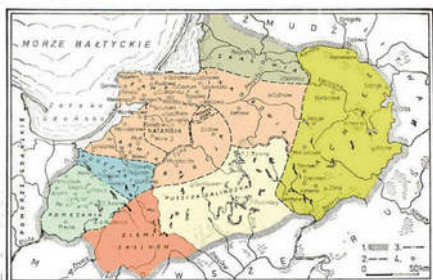
Uwadze uszła nie tylko praca „Ród Prusa Kleca” ale także Wiesława Leszka Ząbka „Legia Rycerska - prawdy i fikcje” : z dziejów I Korpusu Polskiego (1917-1918)” historia elitarniej jednostki Legionu Rycerskiego. „Dokonując kwerendy w CAW do opracowania „Saga Rodu Pilewskich” napotkałem odrzucone wnioski przez Komitet Krzyża i Medalu Niepodległości, dotyczące żołnierzy I Korpusu Polskiego gen. por. Józefa Dowbora-Muśnickiego z tzw. „Legii Rycerskiej”. Zarówno Marszałek Józef Piłsudski, jak wspomniany Komitet Krzyża i Medalu Niepodległości wyrażali pogląd, że polskie formacje wojskowe na Wschodzie były skażone „bolszewizmem” i na tej podstawie oficerom Legii Rycerskiej odmówiono za liczenia udziału w walce o niepodległość Polski. Spróbujmy prześledzić losy żołnierzy Polaków rzuconych w wir wydarzeń na wschodnich rubieżach dawnej Rzeczypospolitej. Jakże odmiennych od tych powszechnie znanych i bogato udokumentowanych, związanych z Legionami Polskimi Józefa Piłsudskiego.....O innej akcji w dniu 23 lutego (1918 rok) wspomina Zygmunt Wincenty Pilewski: „...O godz. 7,00 wieczorem nasz mały oddziałek oficerów 2. Legionu Oficerskiego pod dowództwem kpt. Szelańskowskiego wyruszył w kierunku stacji Puckowicze, którą w godzinach rannych zajęliśmy, a następnie po zarekwirowaniu odesłaliśmy transport siana niezbędnego dla Twierdzy Bobrujsk. Następnie zajęliśmy pocztę i stację telefoniczną zdobywając 12 karabinów. Trzech naszych kolegów - oficerów pozostało na stacji, a reszta (5-ciu) ruszyła celem rozbiorzenia oddziału rosyjskiego zajmującego pobliską szkołę rolniczą. Po krótkiej akcji zabrano Moskałom 44 karabiny. Na folwarku szkoły przejęto zapasy owsa i konie. Po ściągnięciu pozostałych oficerów

oddział liczący 7 ludzi pojechał do wsi, gdzie rozbroiliśmy 270 żołnierzy 13 Erywańskiego pułku, zabierając m.in. 8 „kulomiotów”, 300 karabinów, 20 siodeł i konie. W tej sławnej „wycieczce”, która głośnym echem odbiła się w I Korpusie oprócz dowódcy kpt. Szelańskiego, uczestniczyli następujący oficerowie 2. Legionu Oficerskiego: kpt. Rodziewicz, porucznicy Borysowicz i Chomicz, podporucznicy Wojtulewicz i Rymkiewicz oraz chorążowie: Pilewski, Połubok, Jodynis i Orliński. Zaś akcja przeprowadzona została o 80 wiorst od bazy Bobrujskiej...” Dwóch stryjów Zygmunt i Witold służyło w Konnych Wywiadowcach Legii Rycerskiej, i nie jest to jedyny wyjątek służby Pilewskich dla Rzeczypospolitej.



Sławomir Klec Pilewski jest potomkiem zachodnich starożytnych Prusów etnosu celtyckiego Gotów. Urodził się w Żegrzewie w 1937 roku. Liceum ukończył w Olsztynie, następnie po krótkich nieskończonych studiach na politechnice w Warszawie wyjechał do Londynu. Tam skończył studia i otrzymał dyplom inżyniera w budownictwie. Zawód wykonywał w Londynie, Holandii i Berlinie Zachodnim. Przeważnie były to projekty w branży petrochemicznej. Na kilka lat również wyjechał do Afryki, gdzie prowadził m.in. budowę infrastruktury lotniska w Abudży, nowej stolicy Nigerii, sieci stacji dla komunikacji satelitarnej oraz rezydencji dla wysokich dostojników państwowych. Po powrocie do Londynu został ostatnim prezesem Stowarzyszenia Miłośników Białej Broni, którego honorowym prezesem był przyjaciel Marszałka przedwojenny gen. Czesław Jarnuszkiewicz, a założycielem inżynier Iphorski-Lenkiewicz.

Po przybyciu do Londynu w 1957 roku spotkał się ze stryjcym bratem powstańcem warszawskim Bernardem Klec Pilewskim należącym do grona wybitnych heraldyków na emigracji. Byli oni wydawcami rocznika „Materiały do Historii, Genealogii i Heraldyki Polskiej”. Zajmował się genealogią rodu Pilewskich, jak również Prusami, i dla niego podczas wizyt w Polsce wykonywał zlecenia. Na przykład zbadanie kościoła w Radzynie Chełmińskim z trumiennymi tablicami rodu gen. J.H. Dąbrowskiego oraz kaplicy tegoż rodu. Przedwczesna śmierć nie pozwoliła mu na ukończenie pracy o Pilewskich. Zrobił to prof. Grzegorz Białuński z Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego. Na zaproszenie prof. G. Białuńskiego autor wygłosił odczyt na zamku w Olsztynie, co łączyło się z przyjęciem do Towarzystwa Naukowego Pruthenia. Brał udział przez kilka lat we wszystkich naukowych spotkaniach Prutheni dotyczących Prusów. Profesor zasugerował zajęcie się badaniem obecności Prusów w Polsce. Na przestrzeni ponad dekady indywidualnie przeprowadził badania, które zawarte są w książce i na stronie internetowej [www.prusowie.pl](http://www.prusowie.pl).

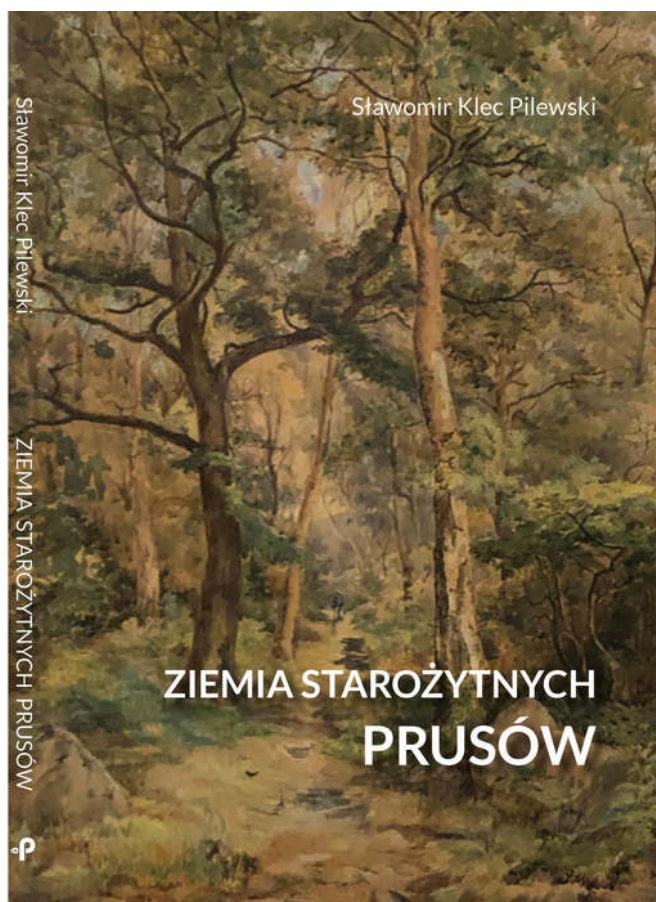


ISBN 978-83-8308-115-1



9 788383 081151

Cena 45 zł



Wielowieczne brutalne przedstawianie starożytnych Prusów nie dawało mi spokoju i stworzyło u mnie w mojej wiedzy wiele wątpliwości. Razem z kuzynem z Włocławka na przedpolu Bitwy pod Grunwaldem w Łodwigowie ustawiliśmy kopiec kamieni z tablicą ku chwale pruskiego rycerstwa Chorągwi Chełmińskiej. Nadal pozostaje pytanie, kiedy będzie muzeum starożytnych Prusów, najstarszych mieszkańców obecnej Polski z dużymi dla niej zasługami. Również najstarszych Chrześcijan obrzędu ariańskiego. W żadnym przypadku i nigdy nic nie powinno być realizowane o pamięci Prusów przy asyście historyków. Wolny czas poświęciłem zbieraniu wiedzy i badaniom historii starożytnych Prusów. Z pomocą przyszły nowe źródła XXI wieku. Kontakty, dyskusje z potomkami Prusów, materiały z obcych archiwów.



Wszyscy odpowiedzialni za eksterminację starożytnych Prusów zostali korespondencyjnie powiadomieni, że potomkowie Prusów są nadal w Europie obecni. Powinno się o nich wskrzesić wiedzę i przyznać prawa mniejszości narodowej z popularyzacją kultury Prusów i prawdziwej ich historii. Tak jak się spodziewano, dzisiejsza Europa jest prawdziwym zgniłym jajem, zbukiem bez kultury i jakiegokolwiek odpowiedzialności za popełnione, popełniane zbrodnicze czyny.



W 2016 roku w 800 letnią rocznicę przyjęcia przez Prusów katolicyzmu zwróciliśmy się do Watykanu o błogosławieństwo. Bez rezultatu. Cały czas budowała się nowa historyczna wiedza o starożytnych Prusach. Zbiór nazwisk potomków Prusów, uzupełniony ich herbami też było pryncypialnym zajęciem. W rezultacie usunięto mnie z grona naukowych badaczy historii



Prusów. Ale, zupełnie nie było to dla mnie zmartwieniem ponieważ sam wychodzę z założenia, że każdy ma prawo wybierać sobie towarzystwo. W dużej mierze od jakiegoś czasu przestali mnie interesować, chociaż uiszczałem członkostwo. Za to poznałem bardzo szlachetną osobę, która zdecydowała się ponieść kosztu wydania pierwszej krótkiej historii Prusów pod tytułem „Ziemia starożytnych Prusów” ze spisem nazwisk i herbami należącymi do Prusów potomków. Zakończyłem zajęcie badania historii starożytnych Prusów, pozostał spokój i cisza. Nowe zajęcie już od dawna czekało na mnie, nie ma nic ciekawszego i piękniejszego jak obserwowanie natury.

Podsumowując Epitafium powinienem dodać, że w każdym miejscu mojego pobytu gdziekolwiek byłem to zawsze interesowała mnie tam polityka, kultura i zabytki. Śledząc ostatnie wydarzenia obecnego miejsca pobytu, śledząc kraj po stosunkowo niedawnym odzyskaniu niepodległości to mówiąc po krótko, doznać można szoku jak naród w trybie wyborów zgodził się na utratę wolności. Trudno uwierzyć, że doszło do aż takiego prymitywu i braku historycznej wrażliwości. Jak można zrozumieć, że Niemiec z folksdojczami i analfabetami dokonali przewrotu. Trudno zrozumieć, że nastąpiła w narodzie taka upadłość i powstał taki kryzys intelektu. Czy można przyjąć co niektórzy mówią, że połowa ludności to tacy co tylko posługują się lokalnym językiem i nic więcej. Nie tak to wszystko miało być, nie miało być powrotu do ciemnego tłumu bez kultury, coś się stało, źle oceniona została scheda po komunizmie. A w ogóle jak Niemcom po tylu zbrodniach można przyzwolić na odgrywanie w Europie jakiegokolwiek roli. Analizując demokrację, wystarczy cytować Winston Churchilla „*demokracja nie jest najlepszą formą rządzenia, ale niema lepszej*”. Co raz to mniej jest miejsca dla wolności człowieka. Mądrości też nie wolno nadużywać, bo i to może skończyć się źle. Za to zakusy Niemiec i Rosji są i zawsze będą na ich wspólną granicę na Wiśle. Warmia i Mazury posiada swoją własną historię i nic do niej Słowianom, a będąc w granicach Rzeczypospolitej to najwyższy czas żeby jej prawdziwa historia znalazła się w jej historii.

*„Aby zlikwidować narody, zaczynamy od ich mordowania...”*

*Tak walczą bandyci różnych ras...*

*Niszczą się ich kulturę, ich historię...*

*Daje się im inną kulturę, wymyśla się im inną historię i zmienia się ich tożsamość...*

*Wtedy ludzie powoli zaczynają zapominać kim są...i kim byli...*

*Ale, dla kogo i poco to wszystko było i co z tego zostało...?*

*Gdzie są ci wszyscy żeby się z tego cieszyć...?*

*Zostali ich mutanci z genami bandytów...”*

*SLAWOMIR KLEC PILEWSKI MARZEC 2025*